

TEATR

# Morze żywi, daje nadzieję, ale i zabija

**Sukces tej premiery w Operze Narodowej ma kilku ojców. Są nimi nie tylko reżyser Mariusz Treliński, ale także dyrygent Michał Klauza i wspomniały brytyjski tenor Peter Webb.**

JACEK MARCZYŃSKI

„Peter Grimes” Benjamin Brittena to pierwsza od dawna inscenizacja Mariusza Trelińskiego, w której do oryginalnego dzieła niczego – lub prawie niczego – on nie nadbudował, a z pewnością nie nadinterpretował. Ale też wszystko jest tu zawarte w muzyce. Ona kreuje akcję, prowadzi bohaterów lub wręcz pozostaje w opozycji do nich oraz komentuje ich czyny i słowa.

Od pierwszych taktów muzyka Brittena przykuwa uwagę, zwłaszcza że Michał Klauza podał ją z matematyczną niemal precyzją i wyczuciem wewnętrznych napięć. Zasługa dyrygenta tym większa, bo Britten nie operuje olbrzymią masą dźwiękową, którą można przykryć pewne niedokładności. On preferuje użycie małych grup instrumentów, mieszcząca religijne psalmy z frywol-

nymi piosenkami żeglarskimi, melodyjne arioso ze scenami rodzajowymi, a Michał Klauza połączył to wszystko w dynamiczną całość.

Ta opera to opowieść o rybaku, obciążonym szeregiem niewyjaśnionych pytań. Zabija nieletnich pomocników czy tylko się nad nimi znęca? A może mimowolnie przyczynia się do ich śmierci? Jednoznacznych dowodów na zbrodnię nie ma, ale miasteczkowa społeczność wydała już wyrok.

Peter Grimes jest jednak twardy. Mógłby uciec, ale trzyma się morza, bo wierzy, że dzięki połowom zarobi wreszcie pieniądze, założy rodzinę i odmieni swoje życie. Ten samotnik i gbur nie pasuje jednak do większości.

Brittenowi problem ludzi niedostosowanych był bliski z powodów osobistych. Po siedmiu dekadach od powstania „Petera Grimesa” jego temat wybrzmiewa znacznie ostrzej, bo ciągle pojawiają się jacyś odrzuceni i niszczeni: Żydzi, chorzy na AIDS, geje, muzułmani, imigranci, przeciwnicy polityczni.



**Peter Webb** do postaci Petera Grimesa przymierzał się od dawna

W finale przedstawienia Mariusz Treliński stawia brutalną tezę: tacy jak Peter Grimes muszą zostać złożeni w rytualnej ofierze, bo ona jednoczy i wzmacnia społeczność, które tego dokonały. W librecie nie zostało to sformułowane wprost, ale taki finał wzmacnia wymowę opery.

Są w spektaklu gadzety stale stosowane przez Mariusza Trelińskiego – wyuzdane panienki, burdelowe klimaty, błyskotki w strojach i ozdo-

bach. Na szczęście nie odgrywają większej roli. To, co istotne, zostało pokazane z ogromną konsekwencją na tle filmowych obrazów niepokojących morskich żywiołów, na bezszelestnie poruszających się pomostach zaprojektowanych przez Borisa Kudliczkę. Akcja toczy się płynnie i dynamicznie, choć rozgrywa się w wielu różnych miejscach.

No i jest Peter Webb, brytyjski tenor o ogromnym doświadczeniu. Jak mi powie-

dział, do tej roli przymierzał się od dawna, czekał jednak, aż jego głos odpowiednio dojrzeje. Wreszcie uznał, że ten moment nadszedł i w Warszawie w „Peterze Grimesie” zadebiutował.

Stworzył wyjątkową kreację. Operuje ogromną skalą środków wokalnych – od pianissima i niemal szeptu do pełnego dramatyzmu, na granicy krzyku. Wszystko jest jednak pod kontrolą, a mimo silnej ekspresji tak ukazany Peter Grimes cały czas pozostaje wyobcowany.

W ciekawie zarysowanym obyczajowo tle mieszkańców miasteczka lepiej zaprezentowała się męska część obsady: ekspresyjny Krzysztof Szumański (Balstrode), Mateusz Zajdel (porywczy Bob), Dariusz Machej (skrywający różne grzechy Sędzia) czy Szymon Komasa (luzak Keene). Resztę dodał świetny chór.

Mroczny „Peter Grimes” nie jest może najlepszą propozycją na upał, ale zobaczyć go trzeba koniecznie. Zwłaszcza że nie wiadomo, kiedy po wakacjach wróci. /©©